Nr 12. Kraków, 21 Marca 1891. Rok I.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.
Administracya w księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna.
Redakcya ul. Szewska Nr. 15.

KRAKUS

Prenumerata wynosi
w Krakowie
rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »
z przesyłką pocztową
rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,
oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

O Rusi i Rusinach.

IV.

Rusini pod panowaniem austryackiem.

(Dokończenie.)

Cóż w takich zdarzeniach mieli robić Polacy? jak się mieli zachować? Różni różnie myśleli i mówili. Byli tacy co mówili, że należy przyciągać do siebie Rusinów jak największą łagodnością i dobrocią, przystawać na wszystkie ich żądania, uchwalać w Sejmie wszystkie ich wnioski, a wtedy, jak się Rusini przekonają, że polska większość w Sejmie ustępuje im zawsze, i że wszystko, czego chcą od niej, dostać mogą, to przestaną nas nas nienawidzieć, a z czasem zaczną i kochać. W takiem zdaniu było dobrego serca dużo, ale rozwagi i zastanowienia nie wiele. Kiedy Rusini ciągnęli do innej wiary i innego Państwa, to nam sumienie i rozum mówiły, że powinniśmy być bardzo ostrożni, bo każdego nowego prawa, jakieby zyskali, mogą użyć na to, żeby jeszcze silniej jak dotąd robić to, co dla nas i dla całego Państwa niebezpieczne. Jeżeli mnie kto chce bić, to mu przecie nie będę na siebie dawał kija: toby nie była ani miłość chrześcijańska, ani miłość braterska, tylko nieroztropność.

Inni znowu, oburzeni na postępowanie Rusinów, utrzymywali, że trzeba im się opierać zawsze i we wszystkiem, a nigdy i w niczem nic ustępować. Dowodzili, że lud ruski ani tej nienawiści do Polaków nie czuje, ani nie dba o te zmiany, jakich się domagają jego posłowie: że to kilkuset ludzi burzliwych i przewrotnych robi ten cały niepokój, a naród sam ani o niem nie wie, ani go nie pragnie. To jest prawda: ale tak znowu ostro postępować nie byłoby dobrze, bo naprzód między żądaniami Rusinów mogły być i słuszne, a takim zawsze należy uczynić zadość, a powtóre dlatego, że byłyby jeszcze większe skargi na polski ucisk, a różni nasi nieprzyjaciele udawaliby, że tym skargom wierzą, i mogłyby z tego wyniknąć nowe kłopoty i przykrości. Większość sejmowa tedy obrała drogę pośrednią, i tej się trzymała. W niczem Rusinów nie krzywdzić, przyznawać im zawsze odrazu w Sejmie wszystko to, do czego na mocy ustaw mają prawo: ale do tych praw nowego nie dodawać nic, bo z pewnością użyliby tego na naszą szkodę. Tak robił Sejm przez te wszystkie lata, do ostatka. Posłowie ruscy co roku wychodzili z nowymi wnioskami, Sejm te wnioski rozstrzygał, uchwalał co było słuszne, resztę odrzucał. Skargi z tamtej strony były zawsze te same, tylko może coraz gwałtowniejsze. Czy były słuszne? to inna rzecz. Jednym z głównych niby dowodów tego upośledzenia i prześladowania Rusinów było to, że ludu ruskiego jest tak wiele, a ich w Sejmie stosunkowo tak mało. Któż temu winien? Lud na Rusi wybiera tak samo jak gdzieindziej: jeżeli wybiera często Polaków na posłów, to cóż na to poradzić? Wolno Polakom o wybór się starać, i wolno Rusinom Polaka wybrać. Jeżeli zaś tylu Polaków wybierają, to widać, że lud niema do nich tej nieufności i nienawiści, jaką mają ruscy księża, albo adwokaci, albo notaryusze, albo sędziowie. Czasem znowu skarżyli się, że przy wyborach starostowie albo żandarmi dopuszczali się nadużyć: wtedy za każdym razem Rząd robił dokładne śledztwo, a najczęściej pokazało się, że jeżeli były bitki albo gwałty, to je właśnie Rusini robili. Gdzie zaś zdarzyło się istotnie jakie nadużycie, tam było z urzędu skarcone.

Drugim znowu głównym powodem do skarg były szkoły: że szkół ruskich za mało. Znowu nieprawda. Ustawa mówi, że każda gmina sama ma prawo stanowić o tem, czy dzieci mają się uczyć w polskim czy w ruskim języku. Gdzie więc gmina oświadczy, że chce szkoły ruskiej, tam szkoła jest ruską. Nie było przypadku, żeby się stało inaczej, i naprawdę mamy w kraju więcej szkół wiejskich ruskich aniżeli polskich. Co do szkół wyższych, gimnazyów, prawda że jest tylko jedno (we Lwowie), w którem wszystkie nauki przez wszystkie lata odbywają się po rusku: ale w miastach mniejszych, gdzie jest ludność i polska i ruska, a gimnazyum tylko jedno, jakże zrobić, żeby wszystkim dogodzić? Gdyby tam dawać naukę po rusku, to znowu narzeka-

liby Polacy. Poradził na to Sejm w ten sposób, iż uchwalił, że jeżeli w jakiej klassie gimnazyalnej znajdzie się dwudziestu pięciu chłopców, których rodzice zażądają, żeby oni uczyli się po rusku, to dla tych chłopców ma być otwarta klassa osobna, z ruskimi nauczycielami i nauką po rusku. Dotąd w jednym Przemyślu znalazła się potrzebna liczba rodziców, którzy takiej zmiany żądali, i tam też są przy gimnazyum takie osobne klassy ruskie.

Skargi więc słuszne nie były, krzywd i ucisku nie było, a skarżono się (jak to Polacy nieraz w Sejmie mówili) dlatego żeby skargami lud w niepokoju utrzymywać i w nienawiści utwierdzać. Przy ostatnich wyborach do Sejmu w roku 1889 zaszła ta nienawiść tak daleko, że w swoich odezwach do wyborców Rusini nazywali nas Polaków obcymi ludźmi, którzy na tej ziemi być nie powinni, i że wtedy dopiero będzie dobrze i spokój, kiedy wszyscy Polacy za San się wyniosą. Taką odezwę podpisał nawet ten Rusin, którego większość sejmowa na członka Wydziału krajowego wybrała.

Że po takiej odezwie w następnym Sejmie wzajemny stosunek był przykry, to nic dziwnego. Rusini byli gwałtowni jeszcze bardziej niż zwykle: Polacy byli do żywego dotknięci i oburzeni. Mimo to byli (z bardzo rzadkimi wyjątkami) spokojni, a pomimo że się świeżo na jednym z nich tak zawiedli, znowu Rusina (innego) do Wydziału krajowego wybrali.

Na samym końcu ostatniego Sejmu (1890) zaszedł wypadek niespodziewany, (o którym wspominaliśmy w pierwszym numerze *Krakusa*). Posłowie ruscy poróżnili się między sobą, i zaczęli występować jedni przeciwko drugim. Jedna strona, z panem Romańczukiem (profesorem gimnazyalnym we Lwowie) oświadczyła w Sejmie, że Rusini nie są i nie chcą być Polakami, ale że tak samo nie są i nie chcą być Moskalami: że są i chcą zawsze pozostać wiernymi katolikami: że tylko w Austryi i pod opieką Cesarza widzą bezpieczeństwo i przyszłość dla swego narodu, a każdego Rusina, któryby ciągnął do schyzmy i do Rossyi, uważają za zdrajcę.

Druga strona, w której imieniu przemawiał znowu pan Antoniewicz (profesor gimnazyalny z Przemyśla), mówiła o sobie, że ona także nie myśli o oderwaniu Galicyi od Państwa Austryackiego, że Cesarzowi jest wierna: ale nie chce mieć nic wspólnego z tymi Rusinami, którzy o jakiejś czystej Rusi mówią, a zostają w stosunkach z ludźmi, którzy z Francyi, Szwajcaryi, i innych krajów usiłują szerzyć niepokój i nieporządek po całym świecie.

Oskarżali się więc nawzajem: jedni o pociąg do schyzmy i do Rossyi, drudzy o ukryte zamiary zaburzeń i nierządu.

Kiedy się tak w Sejmie otwarcie poróżnili, zabrał głos ksiądz Metropolita Arcybiskup lwowski Sembratowicz, i oświadczył w imieniu własnem i wszyskich biskupów ruskich, i duchowieństwa, że choćby im przyszło śmierć ponieść od jedności śgo katolickiego Kościoła i od posłuszeństwa Głowie jego Papieżowi rzymskiemu nie odstąpią: że Cesarza i domu cesarskiego trzymają się wiernie i zawsze trzymać się będą: że o dobro i o sławę ruskiego ludu, o ich pomnożenie zawsze starać się będą, ale prawnymi tylko i godziwymi środkami, a gotowi będą zawsze pomagać do zgody między dwoma bratnimi narodami mieszkającymi na jednej ziemi.

Ten rozbrat między Rusinami świeckimi, a zwła-

Rady na ludzką biedę

przez

Jakóba z pod Wawelu.

IV.

Dobre miałem przeczucie, kiedym w przeszłym tygodniu pisał, że tego listu Jakóbowi z Dziekanowic, nie darują czytelnicy *Krakusa*, którzy mieszkają w mieście, bo na prawdę aż trzy listy otrzymałem, a co jeden to pieprzniejszy. Każdyć to dba o swój honor i niema w tem tak dalece nic złego, bo kto honor zatraci, ten mniej wart, niż łupina od orzecha. Tego też nie można ganić, że ludzie mają odmienne zdania, boć to tylko owce beczą i gęsi krzyczą, jedna za drugą, jako nierozumne stworzenia. Więc gdy rozum idzie na rozum, to zawsze się coś prawdy wykrzesze. Tylko spór i rozprawa powinny być bez obrazy Boskiej i z wszelką uczciwością. Przeto ja tu podaję tylko jeden list mieszczanina, i to ten, który mi się widzi najlepszy. Ale i u tego listu poobcinałem ostre sęki, bo nie dla obrazy i nie dla waśni, tylko dla wzajemnego porozumienia i wyjaśnienia, moje rady, jako i cały *Krakus* pragnie służyć. Ten list jest od p. Walentego Wyręba1skiego, mistrza kunsztu szewieckiego i to wyższego, jako że jest i drugi szewski kunszt niższy, co się partackim zowie. List brzmi tak:

„Szanowny Panie Jakóbie z pod Wawelu. Przychodzę, panie, w niedzielę ze sumy od Panny Maryi i mówię do mojej: gdzie jest *Krakus?* Bo ja panie czytam to pismo. Mówił mi wprawdzie mój szwagier, pan Michał, że to pismo, powiada, jest tylko dla chłopów, a nie żeby je mieszczanin, panie, czytał. Ale ja mu na to mówię: a pokaż mi takie pismo, żeby panie tacy pisywali, jak do *Krakusa* pisują? To oni mogą pisać, a ja panie nawetbym miał się wstydzić czytać! Lepiej to pismo czytać, jak panie u Suskiego suszyć szklanki, jak ty robisz w tę świętą niedzielę. Takąż mu dałem

szcza to oświadczenie Biskupów, którzy w ten sposób objawili, że przyznają słuszność tej stronie, na której czele stoi pan Romańczuk, a stronę przeciwną zganili, to jest wypadek w naszym stosunku do Rusinów ważny. Rusini świeccy wyparli się publicznie rossyjskich i schyzmatyckich dążności, a Biskupi swoim głosem poręczyli niejako za świeckich, że mówią szczerze i wierzyć im można. My zatem ani lekceważyć, ani odpychać tego nie możemy: bo jeżeli oni w tej sprawie głównej mają dobre chęci i będą postępowali dobrze, to możemy i do stałej zgody z nimi z czasem dojść, i im jak sobie przez to lepszą przyszłość zapewnić. Rozumie się, że po tylu latach nieprzyjaźni, nie możemy na jedno słowo uwierzyć, że się u nich wszystko odrazu zmieniło. Biskupom powinniśmy wierzyć i wierzymy zupełnie: świeccy muszą nas jeszcze swojem postępowaniem przekonać, że się pozbywają tej ku nam nienawiści, jaką dotąd zawsze okazywali. Jeżeli naprzykład przestaną w swoich pismach o nas źle mówić, kłamliwe oskarżenia na nas rozszerzać: jeżeli w stosunkach sąsiedzkich, albo w Radach powiatowych, albo w Sejmie, okażą nam więcej życzliwości a mniej zawziętości niż dotąd, to będziemy mieli jakiś dowód ich szczerości i dobrej woli, i zaczniemy ufać. Dotąd, z radością musimy to wyznać, przy wyborach do Rady państwa, ta część Rusinów rzeczywiście dawnej niechęci nam nie okazywała i postępowała zgodnie z Polakami. Zobaczymy, co będzie dalej.

Żądania swoje ogłosili oni w dziennikach, i na przyszłym Sejmie zapewne z niemi wystąpią. Roztrząsać te żądania teraz jeszcze nie pora. Do Sejmu będzie to należało rozpoznać, które z nich są zupełnie słuszne, a które mniej, które się dadzą wykonać, a które nie. Teraz tylko to jedno na pewno wiedzieć możemy, że jak my powinniśmy w tej sprawie postępować roztropnie a sprawiedliwie, żeby ani ich nie skrzywdzić, ani sobie szkody nie zrobić, tak oni znowu powinni starać się przekonać nas swojem zachowaniem, że nie są nam nieprzyjaciółmi, i wzbudzić w nas tę ufność, której dotąd zupełnej mieć do nich nie możemy.

Takie były, w krótkości tu opowiedziane dzieje Rusi, i jej z Polakami stosunki. Za dawnych czasów miała Polska tę względem Rusi zasługę, że jej przez długie wieki broniła od Tatarów i Turków, że ją — bez gwałtu i prześladowania — do prawdziwej wiary nawróciła, że ogromne a odłogiem leżące ziemie zaludniła, a przez to na pożytek ludzki obróciła, miasta zakładała, chwalę Bożą, oświatę ludzi, uprawę ziemi, daleko w te strony szerzyła. Winę zaś miała dawna Polska na Rusi naprzód tę, że nie dosyć pilnie i gorliwie dbała o to, by Rusinów do siebie przywiązać, że naprzykład ich Biskupów do swego senatu nie przypuściła, że niektórzy Polacy — (bo nie król i Rząd polski) — źle się z nimi obchodzili. Rusini pomścili się za to w dawnych czasach dwa razy, przez bunt Chmielnickiego i przez rzeź Humańską, zadali przez to Polsce krzywdę cięższą niż te jakich od niej doznali.

W naszych czasach my im nic robiliśmy krzywdy żadnej, oni nam robili dużo szkody. Nie zaczepialiśmy nigdy, broniliśmy tylko i siebie i państwa, do którego należymy, i Kościoła. Opieraliśmy się i działaliśmy przeciw nim dlatego, że to, co oni chcieli, było i niesprawiedliwe i niebezpieczne. Nie mogliśmy przecie pozwalać na to, żeby nas obcymi ludźmi nazywali i za San

---

odprawę. Więc moja wyszukała mi *Krakusa*, bo go dzieci gdzieś zarzuciły. Te starsze, to panie go sobie wydzierają, wedle tych fraszek i zagadek, co są zawsze na ostatniej stronie. Tak ja najprzód czytam te „rady na ludzką biedę,“ co pan Jakób niby pisze, bo co prawda to i ja ciekawy jestem jakiej dobrej rady na biedę, bo szelma i mnie dokucza i ani rusz jej się pozbyć. Aż tu wyczytuję list Jakóba z Dziekanowic. Więc jak cisnę gazetą o stół, tak moja, co właśnie przy kuchence obiad szykowała, aż się wystraszyła.

„A to mi panie dopiero, mądrala ze wsi! Tylko niby chłopu bieda na świecie, a my mieszczanie to tylko sobie siedzimy i nic nie robimy i po suchym bruku spacerujemy! Niby to takie w mieście państwo, jakby psy tak samo boso nie biegały po mieście, jak po wsi. Ba, żeby jeszcze, ale to panie u nas w mieście nawet psy płacą podatek, a na wsi biegają sobie za darmo, a przecie taki pies miejski jak i pies wiejski.

„Więc co się tyczy podatków, na które ten Jakób z Dziekanowic tak narzeka i płacze, to przecie w mieście także na nas, panie, wołają i niczego nie zapomną, a jeśli o dodatki do podatków chodzi, to i nam dodatków dodają pod dostatkiem. Ja tu nie będę wyliczał podatków wszystkich, jakie my płacimy w mieście, bo to wszyscy wiedzą, ale jedno tylko przytoczę, co mieszczanin płaci i traci, a czego chłop nie czuje tj. mieszkanie i żywność.

„Na wsi głowa nie boli o mieszkanie, a u nas w mieście choć najbiedniejszy, za izdebkę małą musi płacić tyle, że na wsi cały dom by za to najął. A jeszcze i tego doprosić się nie można. Jak nie zapłacisz czynszu na czas, to cię wyrzucą, panie, bez pardonu na bruk, co przecie nie zawsze suchy, jak się temu Jakóbowi z Dziekanowic zdaje, bo i u nas deszcz pada w mieście, a nieraz gdy mieszkasz na strychu, to się przez dach woda ciurkiem leje człekowi za kołnierz. A jeśli w piwnicy najmiesz izdebkę, to światła dziennego nie ujrzysz cały rok i słońce nigdy do ciebie nie

wypraszali, żeby do obcego Państwa i do obcego kościoła ciągnęli, więc staraliśmy się nie dopuszczać ich do większego znaczenia z obawy, żeby go na złe nie użyli. Oni do nas mieli (i zapewne dotąd mają) nienawiść: my do nich tylko niedowierzanie.

Tak stoimy względem siebie dziś. Co będzie dalej? Bóg raczy wiedzieć; ale to pewna, że zgoda i przyjaźń byłaby dla jednych i dla drugich wielkiem szczęściem. Na jednej ziemi siedzimy, musimy na niej żyć obok siebie, a prawo do niej mamy i jedni i drudzy. Ich prawo jest to, że zajęli tę ziemię, kiedy jeszcze była pusta i niczyja, jakżeby im ją sam Pan Bóg był dał w posiadanie, a od tego czasu zawsze na niej siedzieli i zawsze swoim osobnym językiem mówili. Nasze znowu prawo jest to, żeśmy tę ziemię nie gwałtem i przemocą opanowali, ale ją przyłączyli do Polski częścią przez dziedziczne spadkowe prawo naszych królów, częścią na własne żądanie Rusinów: dalej to że bez nas byłaby ta ziemia stała się tatarską albo turecką (w małej części może węgierską), ale sama nie byłaby potrafiła obronić się i utrzymać. Biliśmy się na tej ziemi z Bisurmanami, przez całe wieki, za nią, za siebie, za cały świat chrześcijański, i możemy powiedzieć bez przesady, że ona cała jak długa i szeroka krwią polską jest przesiąkła. Mamy dalej to prawo, że my także na niej siedzimy, a przez wieki naszego panowania z dzikiej i pustej przedtem zrobiliśmy ją ludną i uprawną, żeśmy jej nieśli i wiarę prawdziwą, i oświatę. Nie jest więc Polak na Rusi obcym człowiekiem, nie jest jak ten co gdzieś na krótki czas mieszkanie najął a potem może wynieść się w świat gdzie zechce: zapuścił on w tę ziemię korzenie jak stare drzewo, i nie godzi się z niej go rugować albo mówić, że się usunąć powinien. Na to prawo i Rusinów i Polaków jeden nastaje i gwałci je, Moskal, kiedy Polaków i katolików zmusza, żeby się z ziemi wyprzedawali i wynosili, a Rusinów gwałtem na swoją wiarę przeciąga, a własnym językiem mówić im nie pozwala. Jeżeli on na swojem postawi, to w końcu nie będzie na Rusi ani Polaków, ani Rusinów, tylko będą Rossyanie i Rossya.

Dlatego jeżeli chcemy jedni i drudzy żyć i utrzymać się na swojej ziemi, przy swojej wierze, przy swojej mowie, i przy swoich prawach, to powinniśmy wspierać się i pomagać sobie wzajemnie, a nie w zawiści patrzeć na siebie jak na nieprzyjaciół i robić sobie na złość. Te złe uczucia powinniśmy koniecznie dla wspólnego dobra, i dla dobra samej wiary św. i Kościoła w sobie zwyciężać.

My Polacy możemy podobno z czystem sumieniem o sobie powiedzieć, że Rusina szczerego katolika, i takiego, który do nas niema nienawiści, gotowiśmy zawsze kochać jak brata. U nich od niedawna wprawdzie, ale zaczynają przecie objawiać się lepsze uczucia. Może Bóg da, że się utrwalą, rozszerzą, i ta bolesna waśń domowa skończy się kiedyś spokojem pożądanym i zgodą szczerą na pomyślną przyszłość i Polski i Rusi, na dobry przykład ludziom, na pożytek Państwa, na chwałę Bożą, ubezpieczenie i pomnożenie wiary św., a na zawstydzenie jej nieprzyjaciół.

Emigracya do Brazylii.

(Ciąg dalszy).

„Przyjadą miernicy (geometrzy) — mówi do Dygasińskiego urzędnik nad osadnikami w Masarandubie; — przyjadą, odmierzą osady, rząd da każdemu chłopu

---

zajrzy. A przecie mówi przysłowie, iż gdzie do izby słońce wchodzi, ztamtąd doktor wychodzi. To też u nas doktora co chwila potrzeba, bo dzieci, panie, wciąż chorują.

„A co się tyczy pożywienia, to panie ten Jakób z Dziekanowic także nie rozumie sprawy, bo jeśli płacze na to, że my w mieście na drożyznę narzekamy, to niechby tylko na bruku mieszkał jaki roczek, a wnetby narzekał jeszcze bardziej. Przecie to, panie, znana rzecz, że co na wsi wyrzucą na śmiecie, to jeszcze w mieście kupią i dobrze zapłacą. Na wsi dzieci siadają do pełnej miski ziemniaków, a u nas w mieście musi im matka odliczyć, żeby starczyło, bo to się na funty kupuje, a na funt nie wnijdzie tego wiele. Oni tam na wsi mają furami, a my w mieście kupujemy garstkami. A jeszcze teraz, panie, jak tyle wojska stoi w Galicyi, to chłopa się proszą żeby sprzedał, a który teraz jeszcze narzeka, to już chyba na sądnym dniu narzekać przestanie.

„Czytałem też raz w książce, że bez trzech rzeczy człowiek żyć nie może, tj. bez powietrza, wody i ognia. No, co się tego trojga tyczy, to panie my w mieście możemy narzekać słusznie, ale nie mogą narzekać na wsi. Bo powietrze mamy złe i zepsute przez to, że tylu ludzi mieszka na kupie, a na wieś wychodzimy w niedzielę, żeby łyknąć wiejskiego powietrza i to nam musi starczyć na tydzień. Bogatsi to nawet latem całkiem z miasta uciekają. Wodę mamy złą, mętną i zepsutą, bo tu gdzie kopią, to wszędzie na stare cmentarzysko natrafią. Więc, panie, ludzie w mieście chorują i narzekają słusznie. A po trzecie co się tego, panie, tyczy ognia, to my tu drzewo kupujemy, jakby jaki cynamon, od chłopów, a węgle kamienne co rok droższe.

„A na ostatek, co ten Jakób z Dziekanowic pisze, że my w mieście nic nie robimy, to też taka prawda, jakby ślepy czytał, bo tu, panie, w mieście pieczone gołąbki nie lecą do gąbki, ani smażone prosięta nie chodzą po ulicy. Każdego tu bieda do roboty pędzi,

narzędzia potrzebne do karczowania i uprawy ziemi, pożyczy 50 milrejsów na postawienie domu, i za jakie trzy, cztery miesiące ludzie ci będą zadowoleni.

„Tak mię pociesza urzędnik — pisze Dygasiński — a ja go pytam:

— Racz mi pan powiedzieć, jakie to narzędzia otrzymują koloniści od rządu?

— Topór, rydel i gracę.

— Czyż to rolnikowi w Brazylii wystarcza?

— Najzupełniej!

— A teraz zechciej mi pan pokazać kolonię nową, to jest kawałek gruntu, już odmierzonego dla wychodźców.

„Przeszliśmy kilkaset kroków. Wreszcie pokazał mi na spadku góry sporą przestrzeń ziemi. Leżały tam ogromne kłody drzewa, pościnanego i opalonego przez ogień: wyglądało to jakby wielkie pogorzelisko.

„Urzędnik później drugą i trzecią taką samą osadę mi pokazywał. Przytem opowiedział, że osadnik obowiązany jest wypłacić rządowi za ten grunt 250 milrejsów (czyli koło 350 złr.), a to w ciągu lat pięciu.

„Kiedy tak chodzę z urzędnikiem, przyszli ku nam ludzie nasi. Więc odezwałem się do nich:

— A no, macie to, czegoście chcieli, macie ziemię!

— Jaka tam ziemia! — rzekł jeden z nich, drapiąc się w głowę. — Pałygi jakieś, wertepy! U nas nikt by na to nie spojrzał... A dyć z tych kolonij, co on je tu panu pokazuje, to gospodarze precz pouciekali i niewiadomo gdzie się podzieli!... Jednego, Zarębowicza, to tu wąż okrutny ukąsił i człowiek o mało życia nie stracił. Palili mu nogę rozpalonem żelazem, a jak ozdrowiał, zabrał żonę, dzieci i w świat poszedł. Oj, co tu za gady i robaki, niech Bóg broni!

„Te wszystkie kolonie, którem dotychczas oglądał, były bez chat; tylko tu i owdzie zauważyłem jakby ślady przygotowawcze do postawienia domu.

„Ale poszliśmy następnie na kolonie, gdzie już i chaty stały, a pomiędzy opalonemi kłodami, gałęziami, bryłami skał, dawała się spostrzegać podrosła już kukurydza, fasola. Trudno sobie wyobrazić budynek nędzniejszy od chaty polskiego osadnika w Brazylii. W porównaniu z nią najlichsza lepianka u nas jest jeszcze bardzo dobrem mieszkaniem. Niema w tej chacie żadnych ścian, tylko sześć słupków — po trzy w jednym rzędzie, — a na nich dach z wielkich liści palmowych. Ludzie mieszkają na strychu, to jest pod dachem, dokąd się dostają po drabinie; poniewierają się tam wszyscy na przegniłym mchu i liściach.

„Na dole w takiej chacie mieszkać niepodobna z powodu wężów, jaszczurek i obrzydliwych ropuch, które swe zimne ciała pragną ogrzać przy człowieku.

„Gospodyni, gdy ma gotować, roznieca ognisko na ziemi przed budą pod gołem niebem.

— Byłam u siebie w kraju panią całą gębą, miałam cygan jak się patrzy, a teraz mi oto przyszło na poniewierkę! — skarżyła się jedna z tych kobiet przedemną.

„Sposób też uprawy ziemi w Brazylii nie podoba się wcale naszym wieśniakom. Jeden z nich mówił do mnie:

— Myśleliśwa, że będziewa orać, siać żyto, jęczmień, a tu nic, jeno majs i bone (kukurydzę i fasolę).

„Osady owe w Masarandubie porozrzucane są jedna od drugiej o wiorstę i dalej. Nachodziwszy się dosyć, wróciłem do baraku rządowego, gdzie miano wypłacać ludziom za robotę. Wyglądam oknem, bawię się

---

tylko w tem jest sęk, że roboty trudno dostać. A biedny rzemieślnik teraz najwięcej roboty jeszcze znajdzie u żyda, bo żyd na materyał pożyczy, da zadatek, ale każe sobie potem odrabiać. Więc od rana do nocy człek odrabia i tyle zarobi, co z ręki do gęby. Ta nasza bieda miejska tem się więc różni od wiejskiej, że, panie, boso nie chodzi, tylko w butach, a chłop przez całe lato butów nie wdzieje, więc nawet biedny szewc niema zarobku.

„Jeszczebym i więcej tu mógł napisać, ale że mi się, panie, arkusz kończy, więc dam pokój, bo pewnie będzie i dosyć. A niech pan Jakób też mój list wydrukuje i coś powie, po której stronie prawda. Z tem się kłaniam pięknie, wedle uszanowania swojego.

Piotr Wyrębalski.

Skoroć już mam być sędzią między dwiema stronami, tj. między Jakóbem z Dziekanowic a p. Walentym Wyrębalskim, to muszę tak zrobić, jak w naszych sądach robią: odłożyć akta, żeby się sprawa nieco odleżała. Niech więc obaj tymczasem przyłożą sobie cierpcowego ziela, bo prędzej nie odpiszę, jak za trzy niedziele. Przez ten czas niech sobie każdy z uwagą odczyta, co napisano o Panu Jezusie w Ogrojcu i niech to sobie wezmą do serca wszyscy, którzy cierpcowe ziele za nic sobie mają. Po świętach będę i ja miał lepszą do pisania ochotę, niż teraz przy śledziu i żurku, więc wszystkim czytelnikom wesołych i szczęśliwych świąt już naprzód życzę

Jakób z pod Wawelu.

niby z pięknym psem, a swoją drogą mam ucho na to, co się dzieje przy wypłacie.

Wtem do okna podchodzi chłop i mruga na mnie. Zrozumiałem, iż ma jakąś tajemnicę, więc wychyliłem się za okno. On zaś sięgnął do zanadrza, wyjął owinięty w szmatę kawałek papieru i podał mi, mówiąc:

— Widziewa przecie, coś pan nie jest zwyczajny emigrant. Rozmawiasz pan z ludźmi, uważasz na różne rzeczy, a osobliwie o dzieci się dopytujesz, z bryzoljanów zaś nic sobie nie robisz. My też nie głupi, żeby nie zrozumieć...

Położyłem palec na ustach na znak milczenia, gdyż niedaleko nas stał tłumacz, który mógł wszystko posłyszeć i zrozumieć, a papier schowałem do kieszeni. Co w nim było napisane, wiernie tu oto powtarzam:

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i „nasza Jasnogórska panienka! Kłaniamy się pokornie „panu z Polski, a prosiewa wszyscy, siła nas tu przy„jechało, żeby można jak najprędzej z Bryzolji wyje„chać i chociaż do Bremy się dostać, to dalej już na „piechoty pójdziewa.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Jakeś „pan jest katolik na równi z nami polakami w obcej „ziemi, to musisz uważać, co ludzie wytrzymać nie mogą „bez kościola i katolickiego księdza, takiego, coby na„ukę i wszystko po polsku mówił. Opisywali nam tam „w Polsce, że w Bryzolji jest polska wiara i równość; „a tu niema polskiej wiary i niema równości. Wszystko „pomieszane z Niemcami i Bóg wie jakiemi narodami.

„Jakeś pan katolik, więc masz pan rozum dobry „na to, że człowiek z Polski tak nie wyżyje. Niemcy, „murzyny, powinny być osobno, a polaki osobno, skoro „ma być równość. Dlatego, że jak u nas jest święto, „niedziela, czy jakiej Matki Boskiej, to oni robią, a „z nas się naśmiewają; przychodzi do obrazy Pana „Boga, cierpliwości zbraknie nieraz, jako jest niewy„trzymanie ludzkie z nimi. Trzeba sobakom nakląć, a „jeden rwał się już do prania, jeno drudzy wzbronili.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Nim „do Polski wróciewa, żeby nam postawili choć niedużą „kapliczkę i koniecznie księdza z Polski wezwali, bo „my nie zwyczajni być bez kościoła i bez księdza nie „wytrzymawa. Prosiewa pana o to pokornie.

„A drugie, że dużo jest o tem gadania, co nam „tu dają robotę i placą. My jedno życie z tego zarobku „mamy, na ten przykład kilo, (półtrzecia funta) *szwarce* „*bone* (czarnej fasoli), trochę śmierdzącej okrasy i rzadko „kawałek chleba do tego. Co to znaczy chleb taki ich „tutaj!... A jak duża rodzina, to wszyscy wstają od „miski głodni. Kupić czego na koszulę lub na inne oble„czenie, albo obuwia na nogi, nie mamy za co, choć „nam wszy ziemne powgryzały się w podeszwy i wszę„dzie, ani ustać, ani chodzić nie można — takie psie „dusze dokuczliwe.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Dzieci „które się porodziły, wszystko jedno jakby prosięta — „bez chrztu świętego zostają... Kaj tam od nas kościół, „aż w Blumenau! Z tego zarobku furmanki przecie nie „najmie, boby człowiek zdechł z głodu, jeno małe leży „tak bez imienia i bez patrona swego w niebie, aż się „serce ściska, że katolik nikiej pogan żyć musi.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

„Człowiek nie jest wieczny, jeden, drugi umiera, „osobliwie tu w Bryzolji nic nam nie lubuje — ani „woda, ani strawa. Jako na szyfie (na okręcie) nie„boszczyka w worku do morza wrzucali nocą, bez ni„czyjej wiadomości, że nawet syn nie mógł się krzy„żem świętym przeżegnać, kiedy mu zmarł ojciec; tak „i tu trzeba zmarłego katolika nieść do boru i grzebać „gdzie bądź, bez pokropienia święconą wodą. I cóż „taka dusza warta na tamtym świecie, kaj się ją na „równi z psem chowa?

„Kłaniamy się pokornie panu z Polski i prosiewa „o to wszystko, żeby było, jakoś pan jest wierny ka„tolik na równi z nami.“

Tak opisawszy to, co widział w Masarandubie i powtórzywszy pisanie podane mu do rąk od tamtejszych osadników, Dygasiński dalej tak już sam od siebie pisze:

Ci ludzie nasi są uwiedzeni i zawiedzeni. W Masarandubie podczas mojej bytności było 300 polskich wychodźców, a teraz jest ich już tam 900, bo nowi przybyli. Rząd brazylijski chce robić swoje, lecz rady temu nie da. Osadnicy polscy, którzy tam od sześciu miesięcy przybyli, już poporzucali daną sobie ziemię i poszli w świat.

Niema w Brazylji nad morzem miasta, ani miasteczka, gdzieby się nie można było spotkać z wychodźcami polskimi. Wielka ich liczba ciągnie piechotą przez lasy ponad brzegiem morza. Można sobie wyobrazić, co ci ludzie przechodzą, byle się posunąć dalej ku północy, byle być trochę bliżej swojego kraju.

Czy rząd brazylijski zaradzi złemu, na które przez nieostrożność swych spekulantów naraził siebie i naszych wychodźców? Tego nie wiem. Mogę jednakże śmiało twierdzić, iż to złe jest wielkie już teraz, a będzie się jeszcze coraz zwiększało. Byłoby to zaś bardzo smutne, gdyby rząd brazylijski ujrzał się w konieczności użycia siły, swego wojska, przeciw naszym wychodźcom, aby ich zmusić do pozostawania na osadach i do roboty. Oby nie sprawdziły się moje przeczucia!

Są to wszystko słowa tego Dygasińskiego, napisane przez niego szczerze po zwiedzeniu osad polskich w Brazylji.

Pan Jezus w Ogrojcu.

(Ch.) Bardzo teraz powszechne i głośne jest narzekanie po świecie na biedę, na niedostatek i różne przykrości, a im więcej i głośniej ludzie narzekają, tem bardziej gorzknieją w sercu i tem więcej przykrzą sobie życie. Narzekanie na nic się nie przyda nikomu, ani ulgi nie przyniesie, ani pociechy. Dlatego *Krakus* podaje na wielki tydzień obraz, przedstawiający Pana Jezusa w Ogrodzie Getsemani, aby przykład i wzór ten wzniosły przypomniał czytelnikom trzy następujące prawdy:

Pan Jezus wybrał, z pomiędzy 12 uczniów, tylko trzech najzaufańszych, aby z Nim dzielili chwilę ciężkiej walki wewnętrznej i byli świadkami Jego uwięzienia. Ale i ci trzej najwierniejsi uczniowie spali smacznie, podczas gdy Pan krwawy pot przelewał i z nadmiaru boleści upadł twarzą na ziemię. Budzi ich Pan Jezus, ale oni znowu smacznie zasypiają. Z tego wynika nauka, że na pociechę ludzką niema się co spuszczać, bo każdy się swoim zajmuje kłopotem, a narzekań słucha tylko jednem uchem.



Pan Jezus w Ogrojcu.

Pan Jezus chciał w tej walce wewnętrznej, jaką stoczył sam ze sobą w Ogrójcu, dać nam dowód, jak srodze natura i wola ludzka była przerażona obrazem męki, która się właśnie miała rozpocząć uwięzieniem. Ale chciał nam zarazem dać przykład, jak należy wolę naszą poddawać woli Ojca Przedwiecznego. Więc oddalił się od uczniów i po trzykroć tę samą powtarza modlitwę i zgadza się z wolą Bożą. Bóg Ojciec nie odejmuje kielicha goryczy, nie osładza męki, ale zesyła Anioła ku umocnieniu i pociesze. Ztąd nauka: że kto u Boga szuka pociechy, a nie u ludzi, tego sam Bóg pocieszy bardziej i skuteczniej, niż ludzie.

Pan Jezus modlitwą trzykrotną wzmocniony, odebrawszy pociechę z nieba, budzi uczniów i mówi: wstańcie — pójdźmy! Już przełamał słabość woli ludzkiej, a zgodziwszy się z wolą Bożą, pozbył się trwogi i wahania. Ochotnie idzie naprzeciwko siepaczom i milcząc ponosić będzie męki i krzyż, dla tej miłości, którą ludzkość miłował. Ale trzeciego dnia po męce, odniesie tryumf zmartwychwstania. Ztąd dla nas nauka: żeby każdy niósł Krzyż Chrystusów, z poddaniem się na wolę Bożą, w milczeniu a nie szemraniu, bo przez krzyż wiedzie droga do zmartwychwstania.

A tak jak pojedyńczym czytelnikom potrzeba sobie te nauki przypominać, tak cały nasz polski naród znajduje się w wielkim tygodniu łez i pokuty, krzyża i niedoli. Niecierpliwością grzeszyliśmy nieraz; uczmy się przeto nieść cierpliwie to brzemię Krzyża, które Bóg na nas nałożył, u Boga szukając pomocy i sił wzmocnienia. Wstańcie! i pójdźmy! — woła na nas Pan Jezus.

Wstańmy więc z ospałości i niedbalstwa; radźmy o sobie lepiej niż dotąd i pójdźmy za głosem Bożym, za wodzem i hetmanem naszym, Jezusem Chrystusem, który tak miłował swój naród, że płakał nad nim, a mimo to, że Go na krzyż przybili, jeszcze się modlił za ludzi.

W nieszczęściu szukajmy pomocy i pociechy u Boga, a nie u ludzi, nieśmy Krzyż bez szemrania, a wódz nasz i Zbawiciel da i nam zmartwychwstanie.

Wiadomości polityczne.

Ziemie polskie.

Nareszcie ów minister niemiecki Gossler, co to był prawą ręką Bismarka, kiedy ten gnębił Polaków i dokuczał Kościołowi katolickiemu, musiał ustąpić, choć mu się ustąpić nie chciało. Pan ten dla Polaków mieszkających na ziemiach zabranych przez Prusaka był prawdziwą plagą. On to głównie przyczynił się do usunięcia języka polskiego ze szkół ludowych. Przeciwko duchowieństwu katolickiemu prowadził ciągłą walkę, a nasi księża poznańscy długo będą pamiętali krzywdy, jakie on im wyrządzał. Na jego miejsce ministrem oświaty został hrabia Zedlitz, prezydent prowincyi poznańskiej, który lubo nie okazywał się przyjacielem Polaków, nie był przecież ich wielkim wrogiem. Na czele rządu w Wielkiem księztwie Poznańskiem stanął p. Willamowitz, niemiec, urodzony jednak w Polsce i właściciel wielkich dobr w Poznańskiem. Jak piszą polskie gazety w Poznaniu, Willamowitz jest człowiekiem uczciwym i dobrze znającym nasze stosunki, jest więc nadzieja, że będzie sumienny i bezstronny, co daj Panie Boże!

Oprócz ustąpienia Gosslera jeszcze jedna rzecz cieszy naszych biednych braci Poznańczyków. Oto Niemcy przekonali się, że przysyłanie nauczycielów niemieckich do Polski pod Prusakiem, a wysyłanie nauczycieli Polaków do Niemiec, nie przynosi im żadnego pożytku. Pomału więc zaczynają nauczyciele niemcy powracać do swoich, a nauczyciele Polacy mają także ujrzeć drogą im ziemię rodzinną. I znowu się sprawdzi nasze przysłowie: większa łaska Boska, niż złość ludzka.

Szlązk (austryacki) dzielnie się spisał. Kandydat polski do Rady Państwa ks. Świeży został wybrany z gmin wiejskich 299 głosami przeciw 257, które otrzymał p. Obraczaj, urzędnik Rotszylda, miljonera wiedeńskiego. Niemcy wydali na wybór Obraczaja 5000 złr. — tem większa więc cześć i chwała ludowi polskiemu na Szlązku, że w tak twardych i ciężkich warunkach zwyciężył. „Naganiacze Obraczaja — pisze *Gwiazdka Cieszyńska* — w wysokim stopniu niepokoili ludność. W niektórych okolicach jeździli dniem i nocą, wyciągali nawet wyborców z łóżek, prosili, błagali, płakali, całowali, a gdy to wszystko nic nie pomagało, straszyli i grozili". Przy takiej agitacyi zdawało się, że trudno będzie przeprowadzić ks. Świeżego — a przecież zwyciężyła uczciwość i zwyciężył patryotyzm ludu Szlązkiego. Cześć mu za to.

Z pod Moskala nadchodzą bolesne i smutne nowiny. Moskale zawzięli się srodze na katolików i prześladują i gnębią wszystko co katolickie. Niedawno temu wpadli żandarmi w nocy o godz. 1 do mieszkania księdza wikarego w Radzynie, i wywieźli go w dalekie strony. Proboszcza i dziekana tejże parafii rząd zrzucił z urzędu dziekańskiego. Kościoły katolickie kasują. W dekanacie Radzyńskim było niedawno jeszcze 9 kościołów parafialnych, dziś są już tylko 3. W powiatach zamojskim i hrubieszowskim nie wolno w szkołach uczyć katechizmu. Pewnego księdza, który nie chciał od żołnierzy odbierać przysięgi po rosyjsku, lecz po polsku, skazano na karę 500 rubli i wysłano „na pokutę" do klasztoru. Biedny lud! Niech mu Bóg dopomoże przetrwać te okropne czasy.

Austrya. Wybory do Rady Państwa zostały już ukończone, ale jeszcze nie wiadomo z jakich stronnictw rząd się utworzy. Początkowo myślano, że uda się z Polaków i tak zwanego stronnictwa lewicy niemieckiej (liberałów) utworzyć większość, ale jakoś trudno o zgodę. Niemcy stawiali podobno takie warunki, na które Polacy zgodzić by się nie mogli. Dlatego też mówią, że może na nowo będzie stanowiła większość tak zwana prawica z Polakami. Wiele także zależeć będzie od tego, jakie stanowisko zajmą Młodo-Czesi, których dużo do Rady Państwa weszło, a więc nabrali pewnego znaczenia.

Rzym. Ojciec św. Leon XIII. przesłał podziękowanie biskupom austryackim za ich obronę katolicyzmu, a mianowicie za listy pasterskie, jakie wydali przed wyborami do Rady Państwa. W piśmie tem Papież doradza biskupom, aby dla utrzymania jedności zbierali się co roku i o sprawach kościelnych radzili. Takie zebrania się miałyby na celu: obmyślenie środków do przekonania ludności o potrzebie władzy świeckiej Papieża, dla utrzymania jego niezawisłości, dalej zakładanie przez duchowieństwo Towarzystw religijnych, popieranie dobrych dzienników przeciwko pismom rozszerzającym zgubne zasady, oraz staranie się o polepszenie losu robotników.

Niemcy. Katolicy niemieccy ponieśli wielką stratę przez śmierć znakomitego swego przywódcy Windthorsta. Co on był za jeden pisał już *Krakus* w tym swoim numerze, kiedy zmarły obchodził 80-tą rocznicę swoich urodzin. Pisał wtedy *Krakus* jakim to Windthorst był znakomitym mówcą, jak dzielnie bronił Kościoła katolickiego, jak zawsze był za sprawiedliwością a więc przemawiał i za Polakami kiedy Bismark przeciw nim występował. Umarł on w chwili kiedy może doszedłby do wielkiego znaczenia i wpływu, bo z ustąpieniem Bismarka cesarz Wilhelm zaczął okazywać wiele życzliwości dla tych, których były kanclerz niemiecki nienawidził. Bismark nazywał Windthorsta wrogiem Niemiec, a cesarz Wilhelm był zdania, że Windthorst był dobrym Niemcem, dbał o potęgę państwa, a tylko jako człowiek prawy i sumienny zawsze bronił swoich przekonań, a jako dobry katolik pragnął wolności Kościoła. Wszyscy się spodziewali że cesarz coraz częściej będzie zasięgał rady Windhorsta, ceniąc jego rozum polityczny, zacność i zdolności. Kiedy wieść o jego chorobie rozeszła się, cesarz kazał wciąż donosić sobie o jego zdrowiu, a nawet sam przed jego mieszkanie zajeżdżał. Cesarzowa posyłała mu od siebie kwiaty i kazała sobie trzy razy na dzień donosić czy choremu się nie polepsza. Śmierć Windthorsta jest największym ciosem dla katolików niemieckich, ale i całe Niemcy uczuły, że straciły wielkiego patryotę i obywatela. Wszystkie dzienniki oddają mu cześć największą, sławiąc jego pracę, rozum, zacność i bezinteresowność, bo pomimo swojego wielkiego znaczenia Windthorst umarł prawie ubogi.

Kiedy ciało jego przeprowadzano w sobotę do kościoła św. Jadwigi towarzyszyło temu obrzędowi kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Jechały całe wozy pełne wieńców, a na trumnie leżał tylko jeden najwspanialszy ze wszystkich, na którego wstęgach błyszczała litera W. i korona cesarska: był to wieniec od cesarza Wilhelma. *Krakus* pisał już dla czego my Polacy czuliśmy wdzięczność dla Windthorsta. Przez śmierć jego ponieśliśmy także stratę, bo takiego przyjaciela, jakim on był dla nas, nie prędko między Niemcami znajdziemy. Dlatego też wieść o jego śmierci odbiła się u nas boleśnie. We

wszystkich kościołach poznańskich i w całej Wielkopolsce odbywają się modły za duszę zmarłego. A i w Krakowie w kościele św. Barbary odbyło się staraniem OO. Jezuitów wspaniałe nabożeństwo żałobne na którem exekwie odprawił Jego Eminencja ks. kardynał Dunajewski, książe biskup krakowski Cały kościół był pełny, a na katafalku zawieszono wieniec, „od wielbicieli nieodżałowanego obrońcy Wiary i praw naszych.“

— Kobietom niemieckim zachciało się chodzić do uniwersytetu, to jest pobierać takie nauki, aby mogły być później doktorami, adwokatami, notaryuszami i tak dalej. Napisały więc petycyę do parlamentu niemieckiego, ale ten nie wiele sobie robił z babskiej pisaniny. Jakby kobiety zajęły się męskiemi pracami, to by mężczyżni musieli za nich koło domu chodzić, jadło gotować, dzieci niańczyć, bieliznę prać i szyć koszule. Więc parlament przeszedł nad petycyą do porządku dziennego.

Francya. W Rzymie zmarł książe Hieronim Napoleon Bonaparte, syn króla Westfalskiego, który był bratem owego sławnego cesarza Francuzów Napoleona, co to prawie całą Europę zawojował i uważanym też był za największego wojownika na świecie. Zmarły książę Hieronim był ogromnie podobny z twarzy do owego wielkiego Napoleona, ale mu nie zrównał wielkiemi zdolnościami, choć dosyć umiał i nie był bez rozumu. Kiedy zrzucony z tronu po najściu Prusaków Napoleon III-ci umarł w Anglji, a syn jego został później zabity przez Zulusów w Afryce, książę Hieronim uważał się za ich następcę i czekał czy mu się nie uda osiąść na tronie francuskim. Ponieważ jednak bonapartyści, to jest zwolennicy cesarstwa, księcia Hieronima nie lubili, syn jego Wiktor ogłosił, że on a nie kto inny powinien być cesarzem Francuzów. To tak oburzyło księcia Hieronima, że zerwał ze synem i nawet przed śmiercią pojednać z nim się nie chciał. My Polacy dla zmarłego księcia Hieronima Napoleona mieliśmy w swoim czasie wiele poważania a nawet wdzięczności, bo był naszym przyjacielem. Kiedy wybuchło powstanie w r. 1863 książe Hieronim zachęcał cesarza Napoleona, ażeby wydał Rosyi wojnę i przywrócił Królestwo Polskie, a w senacie francuskim (w izbie wyższej) wypowiedział tak gorącą mowę i tak potępił okrucieństwa Moskali, że aż cesarz Napoleon w obawie przed Rosyą, kazał mu na pewien czas z Francyi wyjechać.

Z Ameryki południowej. Wojna w kraju Chili (czyta się Czyli) w Ameryce południowej, już nie mało krwi kosztuje. Przy zdobywaniu miasta Ikwiki poległo po jednej stronie 500 ludzi, a po drugiej były straty bardzo znaczne. Od bomb rzucanych na to miasto zginęło podobno 200 kobiet i dzieci.

Rady gospodarskie.

Uprawa koniczyny.

(Dokończenie.)

Suszenie koniczyny odbywa się w sposób bardzo odmienny. Głównem tu staraniem powinno być zapobieżenie opadaniu listków, które stanowią najsmaczniejszą i najpożywniejszą część tej paszy, schną jednak prędzej od badyli i kruszą się łatwo, szczególnie przy częstem rozrzucaniu i przetrząsaniu koniczyny.

Z tego więc powodu najlepszem jest suszenie na żerdziach, na których składa się przewiędłą już koniczynę w kształcie kopy i pozostawia aż do zupełnego wyschnięcia.

Żerdzie takie sporządza się z młodych świerków (smerecków), na których pozostawia się na jeden łokieć długie, a sterczące zwykle ku górze gałązki boczne, celem podtrzymywania układanej na nich koniczyny. W braku świerków użyć można żerdzi jodłowych, które przewierca się trzy lub cztery razy w równych odstępach, a w kierunkach przeciwnych, i wtyka do dziur tych patyki o tyle długie, by wystawały po każdej stronie na jeden łokieć. Na jeden morg potrzeba około 30 takich żerdzi.

W miejscach wystawionych na silne wiatry, na których żerdzie pojedyńcze, mimo silnego wbicia ich w ziemię za pomocą drąga żelaznego, podlegałyby przewróceniu, ustawiają się kozły z trzech żerdzi połączonych w górze i zaopatrzonych każda po stronie zewnętrznej kilkoma kołkami, na których kładną się łaty lub żerdki poprzeczne celem układania na nich koniczyny. Kopy takie są już większe, więc potrzeba mniej kozłów.

Układanie koniczyny na żerdziach lub kozłach rozpoczyna się od dołu, a kończy w górze należytem wywierszeniem, by nie zamokła w środku od deszczu, po zupełnem zaś wyschnięciu zbiera się ją ostrożnie prosto na wozy. Żerdzie zwozi się potem do szopy i używa w latach następnych.

Gdzie jednak żerdzie kosztują zbyt drogo, najlepiej jest suszyć koniczynę w sposób następujący:

Drugiego lub trzeciego dnia po skoszeniu, co zależy od stanu powietrza, grabi się koniczynę na wały i układa małe i wązkie kopki, nie wyższe nad dwa łokcie. Dnia następnego, lub w razie nie dosyć pięknej pogody o jeden dzień później, przewraca się po dwie kopki ku sobie spodem do góry, by obeschła ta część, która leżała na ziemi, a przed wieczorem ustawia kopki podwójnie, czyli z dwóch jedną. Tak samo postępuje się następnie, aż kopy będą już tak duże, iż dwie lub cztery ich stanowić będą całą furę, poczem postać mogą w razie potrzeby dni kilka, dla zupełnego wyschnięcia, a przed wożeniem przewrócić je tylko po-

trzeba spodem do góry, by straciły wilgoć wciąganą z ziemi.

W każdym razie łącząc dwie kopy w jedną, nie trzeba rozrzucać koniczyny cienko, ani też przetrząsać jej lub przewracać zbyt często, by nie narażać na utratę listków. Przed zwiezieniem powinna być o tyle suchą, ażeby po wyciągnięciu próbki z samego środka kopy, można ją przetrzeć w rękach bez rozrywania.

Bywają czasem w chwili zbioru dnie tak gorące, iż koniczyna schnie bardzo szybko, wtedy więc trzeba ją składać zaraz za kosarzami, a potem łączyć już kopy bez wszelkiego rozrzucania.

Na nasienie zostawia się koniczynę mniej gęstą i niezbyt bujną, gdyż taka mogłaby wylegnąć i dałaby zbyt szczupły plon ziarna.

Zbiór koniczyny nasiennej obbywa się wówczas, gdy większa ilość główek ma kolor czarny, a ziarnka w nich są zupełnie twarde. Nasienie niedojrzałe kiełkuje słabo i daje wątłe rośliny; przejrzałe obsypuje się bardzo łatwo.

Młócenie koniczyny nasiennej odbywać należy kilkakrotnie i to w czasie suchym lub mroźnym. Następnie, po każdej młocce przesiewają się plewy przez sita, a młynkowanie wykonać należy ostrożnie, by ziarno nie odleciało wraz z plewami.

Jeżeli koniczyna nasienna nie powschodzi dosyć gęsto, zasiać jeszcze należy na tem polu wcześnie w jesieni nieco tymotki lub też na wiosnę rajgras angielski i włoski, przyskrudliwszy odpowiednio bronami. Zasiewanie traw jednocześnie z koniczyną nie jest konieczne, chyba, że gleba nie należy do zupełnie dobrych dla koniczyny czerwonej. Używa się w takim razie również tymotki i rajgrasów, lecz mają one zawsze tę niedogodność, iż twardnieją przed zakwitnięciem, a więc przed skoszeniem koniczyny. Inne trawy są jeszcze mniej stosowne. Tymotka zasiewa się zwykle już w jesieni, zaraz po zawłóczeniu nasienia oziminy, w której ma przyjść koniczyna, gdyż trawa ta wymaga dłuższego czasu do swego rozwoju. Rajgras angielski może być także sianym w jesieni, byle bardzo wcześnie; rajgras włoski ulega łatwiej wymarznięciu.

Koniczyna szwedzka rośnie dobrze tam, gdzie koniczyna czerwona nie może już być sianą, a mianowicie na glinach i rędzinach zbyt płytkich i mokrych. Znaczna ilość wilgoci jest dla niej konieczną, byle tylko rola nie była zbyt jałową. Jest ona jednokośną, ale daje często plon większy, aniżeli otrzymujemy go z dwóch pokosów średnio bujnej koniczyny czerwonej. Trwa przez dwa i trzy lata (oprócz roku w którym się zasiewa), a w drugim roku daje często więcej paszy aniżeli w pierwszym. Może być sianą po każdym przedplonie, a nawet w krótkim czasie po koniczynie czerwonej, gdyż zapuszcza korzenie płytko i poziomo, nie potrzebuje więc szukać pożywienia w warstwie głębszej. Listki jej są drobne, łodyga bywa dosyć długa, kolor kwiatu biały z wierzchu, a czerwonawy u spodu główki. W stanie zielonym ma smak gorzkawy, przeto bydło nie zbyt chętnie ją zjada, daje jednak siano bardzo pożywne, do którego zwierzęta domowe przyzwyczajają się dosyć prędko. Rośnie z początku dosyć powoli, a koszoną bywa znacznie później aniżeli koniczyna czerwona, co ułatwia zbiór jej, przypadający w czasie wolniejszym od innych zatrudnień. Z powodu cieńszych badyli schnie też dosyć prędko.

Nasienia daje zwykle więcej aniżeli koniczyna czerwona, a cena jego jest znacznie wyższą Kolor nasienia jest zielonkowaty, a do obsiania 1 morga wystarcza 2 garnce. Koniczyna ta zasługuje w każdym razie na większe rozpowszechnienie, szczególnie na gruntach zbyt wilgotnych, lub tam gdzie koniczyna czerwona w skutek zbyt częstego zasiewania przestaje dobrze rodzić. Bardzo jest także przydatną do podsiewania mokrych łąk.

Koniczyna biała sieje się zwykle na takich gruntach, które nie są odpowiednie ani dla koniczyny czerwonej ani też dla szwedzkiej, mianowicie na iłach, glinkach ubogich, płytkich, rzadkich lub kamienistych, oraz w położeniach wyższych. Siana daje szczupło, używaną więc bywa przeważnie do podsiewania pastwisk lub łąk, oraz w celu uzyskania ziarna, którego daje więcej aniżeli inne koniczyny i za które płacą najdrożej, gdyż służy do rozmaitych wyrobów fabrycznych. Kolor nasienia jest żółtawy; potrzeba go 2 garnce do obsiania 1 morga. Korzeniami swemi wzbogaca koniczyna biała rolę obficiej aniżeli inne koniczyny; trwa lat kilka, a zbiera się raz tylko w każdym roku.

A. Lippoman.

WITAJ „KRAKUSIE.“

*W*itaj „Krakusie“ pod słomianą strzechę!
*J*awnie z mogiły, w czasie powstający,
*T*wemu plemieniu na pomoc, pociechę,
*A*byś zmógł smoka jad pożerający —
I siarką prawdy, oświaty, pokoju,

*K*tóraś ocalił lud u stóp Wawelu —
*R*ozsadził wnętrze niezgody ustroju
A zatknął sztandar bratniego pokoju. —
*K*ieruj Lechicką gromadą w bezdrożu,
*U*tykającą błędów manowcami,
*S*iej zdrowe ziarno — żegluj w pełnem morzu
I staj w obronie za Lecha synami —
*E*j! wtedy pierzchnie wszelki wróg przed nami!

w Marcu 1891.

Jędrzej Nalepa z Polanki.

NOWINY.

— Wypadki na morzu. Piszą z Hamburga: Urząd tutejszy, który zbiera i spisuje dokładnie wiadomości o tem, co się dzieje na morzach, ogłosił, że w roku zeszłym, to jest 1890, rozbiło się i zatonęło 1121 okrętów europejskich (tysiąc sto dwadzieścia i jeden). W tej liczbie samych statków parowych poszło na dno dwieście, a mianowicie: angielskich 133, niemieckich 14, francuzkich 10, szwedzkich 9, austryackie 2, włoskie 2, z innych państw razem 10. Żaglowców zaś rozbiło się w ogóle 921. — Szkoda, że nie podano tu jeszcze liczby rozbitych w ciągu tego roku okrętów amerykańskich, azjatyckich i innych, oraz liczby ludzi, którzy razem z tylu okrętami potonęli. Aż straszno pomyśleć, ile to narodu ginie codzień na morzach.

— Z Bystry (w Gorlickiem) piszą do *Krakusa:* W dniu 1 lutego b. r. otwartą została za staraniem Wielebnego Ks. Proboszcza i miejscowego nauczyciela w gminie naszej „Czytelnia ludowa“ założona przez Krakowskie Towarzystwo Oświaty ludowej. W otwarciu wspomnianej czytelni brali udział licznie zgromadzeni włościanie, W-ny Ks. Proboszcz i nauczyciel miejscowy.

O działaniu i celach Towarzystw Oświaty ludowej, mówili: Ks. Proboszcz, p. Hajduk Józef właściciel realności, a w końcu nauczyciel miejscowy p. Jan Walter; ten ostatni kładł główny nacisk na czytanie niedzielne. W imieniu zgromadzonych przemówił włościanin Wojciechowski Wojciech, dziękując w gorących i pełnych uczucia wyrazach za założenie czytelni.

Rozmaitości.

Nowy sposób na wołki. Powiadają, że chcąc się najpewniej zabezpieczyć od szkód wyrządzanych przez ten owad, należy posypać zboże w śpichrzu odrobiną mąki z fasoli. Wołki tak nie lubią fasoli, że uciekają przed nią nawet ztamtąd, gdzie się już nadobre zagnieździły.

Czarnoksięztwo. Za dawnych czasów pewien dworzanin królewski w Krakowie wiedział, że towarzysz jego choruje na ten nierozum, iż ma wielką do czarnoksięztwa ochotę. Porozumiał się więc z babą, która pod zamkiem królewskim garnki iłżeckie sprzedawała, żeby za zapłatę potłukła je wszystkie kijem, skoro on z okna da jej znak chustką. I ukazał jej okno, w którem miał stanąć, a znakiem miała być chustka rozpostarta i z ręki wisząca.

Poszedłszy potem na zamek, chodził po sieni, czatując na owego towarzysza, który też przyszedł niebawem. Powiedziawszy dzień dobry, począł pytać towarzysz, czemu do komnaty nie wchodzi, na co mu ten tak odpowiedział:

— Nie ma po co, bo król jegomość jeszcze w komnacie, ani tak prędko z niej wynijdzie. Chodźmy sobie raczej do okna.

I poszli do okna, a stojąc w niem rozmawiali o czarnoksięztwie.

Towarzysz ów, który na czarnoksięztwo taką miał oskomę, począł wychwalać tę naukę, powiadając iż nie masz nic lepszego nad nią na świecie.

— Cobyś dał — rzecze drugi — gdyby znalazł się taki, któryby chciał się jej nauczyć?

— Dałbym — odpowie — sto i dwieście złotych i więcej nawet.

Na to rzekł mu dworzanin:

— Gdybyś tylko dotrzymał słowa i tajemnicy, powiedziałbym ci o takim, co uczył się u Twardowskiego i tyleż umie, co i tamten umiał, i nauczyć potrafi.

Towarzysz zaklął się na Boga żywego i podał rękę, obiecując na słowo uczciwości, że nikomu na świecie o tem nie powie i takiego człowieka nie wyda.

— A to ja, widzisz — powiada drugi — jestem uczniem Twardowskiego i więcej mogę cię nauczyć, niż ci się zdaje, tylko dotrzymaj mi słowa.

— Oho, — odrzekł pierwszy — nie tak byś ty się miał, gdybyś znał się na tej nauce.

— Nie potrzeba wiele, — wnet pokażę ci, czy co umiem. Rozkaż mi co dziwnego uczynić, a zobaczysz, czy prawdę mówię, czy też kłamię. A jeśli chcesz, jednę rzecz zrobię. Widzisz tę niewiastę, co garnki sprzedaje? Skoro kilka zaklęć odmówię, wszystkie te garnki kijem potłucze.

Towarzysz dowodził, że tego nie dokaże, więc założyli się o 300 czerwonych złotych (dukatów).

Mniemany czarnoksiężnik, obróciwszy się kilkakrotnie wkoło, począł mruczeć zaklęcia i kiedy niekiedy jakieś słowo głośniej wymawiać aby drugi mniemał, że dyabłów wzywa. Potem dobył jakiejś kartki pergaminowej, na której było kilka liter potwornie namalowanych i patrząc to w nią jak w tęczę, to znów na ziemię, rzekł.

— Patrzże teraz.

I spuścił nieznacznie chustkę tak, iż mu z ręki wisiała.

Baba widząc znak, chwyciła kij i poczęła tłuc owe garnki tak, iż je co do jednego wytłukła. Zdumiał się ów, co na to patrzył, a nie żałując wcale przegranych pieniędzy, obiecał być jego uczniem i dać tyle, ile przyrzekał.

Tegoż dnia ów co wygrał pieniądze, królowi wszystko opowiedział.

Nazajutrz król z owym dworzaninem, który przegrał zakład, wszczął rozmowę o czarnoksięztwie i dał mu poznać, że chciałby mieć takiego człowieka, któryby znał się na niem. Dworzanin zapomniawszy o przysiędze, a sądząc że tem królowi wielce się przysłuży, wskazał towarzysza swego jako biegłego w tej nauce i opowiedział całą historyę o garnkach.

Król kazał go zawołać do siebie i rzekł mu, stojąc w oknie i patrząc na babę, która już nowe garnki sprzedawała.

— Słuchaj, możebyś co znowu zrobił z nauki czarnoksięzkiej, chociażby to, żeby ta baba znowu garnki potłukła.

— Miłościwy królu — odrzekł zagadnięty — musiałbym znowu z nią się zmówić.

Słysząc to dworzanin, który przegrał, i poznawszy po śmiechu, że król wie o wszystkiem, zawstydził się wielce i od tego czasu dał pokój czarnoksięztwu, bojąc się, aby co gorszego mu się nie wydarzyło.

Fraszki.

Mądry pies i mędrszy Icek.

— Patrzaj no Icku jaki mój pies mądry — on wszystko to robi co ja robię...

— Ny, to ja idę....

— A to dla czego?

— Bo on jeszcze będzie chciał odemnie pożyczyć pieniędzów.

To dziwne.

— Czy pan dobrodziej znał Sznapsiewicza?

— O, nawet bardzo blizko.

— Umarł w przeszłym miesiącu.

— To dziwne! Ktoby się spodziewał, że człowiek ten w tak młodym wieku pić przestanie.

Zagadka.

Dwie miotły sobie rosną,
Tak zimą, jak i wiosną.
Rosną na białej glebie,
Co myśli wciąż o chlebie.
Dziewczęta je bardzo lubią,
A złe baby czasem skubią.

Znaczenie zagadki w Nrze 11-ym: *Cygaro.*

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 17 marca.

Płacono za pszenicę białą od 9.— do 9.35 zlr., za czerwoną od 8.85 do 9.30 zlr., za żółtą od 8.85 do 9.30 zlr.; za żyto od 6.90 do 7.25 zlr.; za jęczmień browarny od 6.75 do 7.50 zlr.; na paszę od 6.— do 6.25 zlr.; za owies od 6.30 do 6.55 zlr.; Rzepak od —.— do — —. Wszystko za 100 kilogramów.

Nadesłane.

Gnojnik 10 marca 1891 r. Wielmożny Pan Stanisław Homolacs, właściciel dóbr, zaprenumerował tutejszej szkole dla użytku włościan w Jego dobrach zamieszkałych 3 egzemplarze *Krakusa*, za które to dobrodziejstwo jak i pieczołowitość, jaką otacza z bratem swym Wielmożnym Panem Wilhelmem Homolacsem miejscową szkołę, składa Zarząd szkoły staropolskie „Bóg zapłać“.

Z Zarządu szkoły:
Władysław Gąsiecki.

Wielmożny ksiądz kanonik Andrzej Gruszka, proboszcz w Muszynie, zaprenumerował dla tutejszej szkoły jeden egz. tygodnika *Krakus.* Za ten dar imieniem szkoły składam Wielmożnemu Ofiarodawcy podziękowanie.

Muszyna dnia 14 Marca 1891.

Witwicki.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu M. W. w Nag. Zgadzamy się.
Kółku rolniczemu w Kułaczkowicach. Prosimy przysłać, a załatwimy według życzenia.

L. 76

Ogłoszenie.

W krajowej niższej szkole rolniczej w **Kobiernicach,** która ma na celu kształcenie przedewszystkiem **synów włościańskich** na zdolnych gospodarzy praktycznych, **rozpoczyna się rok szkolny 1891/92 z dniem 1 lipca 1891.**

Kto chce wstąpić jako uczeń zwyczajny do tej szkoły, powinien:

1. **Najdalej do 15 maja b. r.** wnieść do Dyrekcyi szkoły w Kobiernicach (poczta Kozy) podanie, z dołączeniem:
   a) metryki urodzenia udowadniającej, że kandydat ukończył 16 rok życia;
   b) świadectwa szkolnego z ukończenia szkoły ludowej z dobrym postępem;
   c) świadectwa moralności i dotychczasowego zatrudnienia wystawionego przez właściwego duszpasterza i zwierzchność gminną;
   d) świadectwa zdrowia wystawionego przez lekarza.
2. W dniu oznaczonym przez Dyrekcyę **poddać się egzaminowi wstępnemu,** z którego kierownik szkoły osądzi, czyli kandydat jest dostatecznie umysłowo rozwinięty i posiada potrzebne wykształcenie elementarne, ażeby mógł korzystać należycie z nauk w szkole rolniczej udzielanych.
3. Otrzymawszy zapewnienie przyjęcia, złożyć do rąk kierownika szkoły pisemne zobowiązanie rodziców, opiekunów lub protektorów, poręczające regularną wypłatę należytości przypadających zakładowi za utrzymanie ucznia.

Synowie ubogich rodziców, chcący otrzymać bezpłatne utrzymanie w zakładzie, winni po dopełnieniu warunków pod 1 i 2 wymienionych, wnieść osobne prośby do Wydziału krajowego na ręce Dyrekcyi;

Synowie włościan posiadających własne gospodarstwa, otrzymać mogą bezpłatne utrzymanie (pomieszkanie, wikt, pościel i pranie) **tudzież ubranie** w zakładzie, kosztem funduszu krajowego.

Każdy jednak wstępujący do zakładu, powinien być zaopatrzony w dostateczną bieliznę i dobre juchtowe buty.

Bliższych wiadomości udzieli na żądanie:

Dyrekcya krajowej niższej szkoły rolniczej w Kobiernicach.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W drukarni „Czasu“ w Krakowie Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.